

Rozdział VII – Pierwsza noc

Noc była spokojna, a zamek pogrążony w błogiej ciszy. Sunset Shimmer spała spokojnie, jej skrzydła poruszały się lekko przy każdym oddechu. W pewnym momencie półmrok pokoju zaczął się zmieniać – subtelnie i powoli, jakby ktoś delikatnie odsunął zasłonę rzeczywistości. Wchodziła w fazę snu głębokiego.

Światło księżyca, które wcześniej wpadało przez okno, zgęstniało, nabrało barwy i kształtu. A potem... otworzyło się jak brama. Zacierała się granica, między jawą a snem.

Z mgły snu wyłoniła się sylwetka klaczy o granatowej sierści i gwiazdzistej grzywie, która falowała jak nocne niebo. Była to sama Księżniczka Luna – strażniczka nocy i snów kucyków

Sunset widziała jak kopyta Luny nie dotykały podłogi – sunęła po niej jak cień, jak wspomnienie, jak sen. Zatrzymała się tuż obok klaczki i spojrzała na nią z tą spokojną, pełną zrozumienia łagodnością, którą zawsze obdarzała kucyki odwiedzane we śnie. Jej obecność nie była ciężarem ani zaskoczeniem; była jak miękki, księżycowy blask, który po prostu pojawia się tam, gdzie jest potrzebny

Sunset poruszyła się lekko w pościeli, jakby wyczuła zmianę w powietrzu. Świat snu wokół niej rozjaśnił się, nabierając barw, których nie sposób było zobaczyć na jawie – głębokich, nasyconych, utkanych z czystej magii. Kiedy otworzyła oczy, nie zobaczyła już swojego pokoju, ani nawet zamku Twilight. Stała na rozległej, spokojnej równinie, oświetlonej blaskiem księżyca, który wisiał nisko nad horyzontem, większy i jaśniejszy niż kiedykolwiek.

Luna uniosła delikatnie skrzydła, jakby w geście powitania i swojej naturalnej, książęcej wyniosłości. Jej ruch był płynny, niemal ceremonialny, a jednocześnie pełen łagodności, która zawsze towarzyszyła jej w świecie snów.

– Witaj, Sunset Shimmer – powiedziała cicho, a jej głos niósł w sobie spokój nocy i pewność kogoś, kto zna sny lepiej niż ktokolwiek inny. Jej słowa otuliły przestrzeń miękkim, księżycowym brzmieniem, które samo w sobie potrafiło uspokoić niespokojne serce

Jej obecność nie przytłaczała – przeciwnie, otulała przestrzeń wokół Sunset jak delikatna mgła, przynosząc ukojenie, którego ta nawet nie wiedziała, że potrzebuje.

– Widzę, że wreszcie pozwoliłaś sobie zasnąć bez lęku – kontynuowała Luna, a w jej głosie pobrzmiwała nuta zadowolenia, subtelna jak muśnięcie piórkiem. Jednak nadal coś cię męczy.

Luna zrobiła krok bliżej, a jej grzywa zafalowała jak nocne niebo. Świat snu reagował na jej obecność subtelnymi drganiami gwiazd nad nimi, które rozświetliły się odrobinę mocniej, a powietrze nabrało chłodnej przejrzystości, jakby samo chciało ułatwić Sunset

oddychanie. W spojrzeniu Luni była tylko spokojna, cierpliwa uwaga, ta wyjątkowa gotowość, by wysłuchać wszystkiego, czego Sunset nie potrafiła wypowiedzieć na jawie, choć nosiła to w sobie od dawna.

– Sny rzadko kłamią – powiedziała. A twoje... wciąż niosą echo niepokoju, którego jeszcze nie nazwałaś.

Zatrzymała się tuż obok Sunset, na tyle blisko, by jej obecność była wyczuwalna, ale na tyle daleko, by nie naruszać przestrzeni, której Sunset mogła potrzebować. Jej postawa mówiła jasno: jestem tu, jeśli zechcesz mówić – ale nie będę cię do tego zmuszać.

– Czasem to, co najbardziej nas porusza, nie jest strachem ani bólem – dodała cicho. A jedynie pytaniem, które czeka, aż odważysz się je wypowiedzieć.

Sunset wzięła powolny oddech, jakby dopiero teraz uświadamiała sobie, jak wiele rzeczy naprawdę nosi w środku. Czuła, jak napięcie, które przez cały dzień trzymała gdzieś głęboko, zaczyna powoli unosić się ku powierzchni – nie w formie paniki, lecz w formie prawdy, której nie mogła już dłużej ignorować. Księżycowe światło odbijało się w jej oczach, sprawiając, że wyglądały na głębsze, bardziej odsłonięte niż na jawie, jakby sen pozwalał jej pokazać to, co w rzeczywistości wciąż trzymała za zasłoną. Tutaj nic nie musiało być ukrywane. Tutaj nic nie mogło zostać zepchnięte na bok.

– Masz rację... – powiedziała cicho, a jej głos drżał ledwie wyczuwalnie, jakby każde słowo musiała najpierw ostrożnie odważyć, zanim pozwoli mu wybrzmieć. – Jest we mnie coś, czego nie potrafię nazwać. Coś, co nie daje mi spokoju, nawet kiedy wszystko wokół jest już bezpieczne.

Zerknęła na swoje skrzydła, które w świetle snu lśniły jeszcze wyraźniej, jakby magia wciąż próbowała znaleźć dla nich miejsce, jakby sama rzeczywistość nie była pewna, gdzie dokładnie powinny się ułożyć. Pióra drżały lekko, odbijając blask księżyca w sposób niemal nienaturalny – piękny, ale obcy.

– Jakby... – zaczęła, ale zawahała się, szukając słów, które nie chciały przyjść. W świetle snu każde niewypowiedziane zdanie zdawało się zawisać w powietrzu dłużej, jakby samo czekało, aż nabierze odwagi. – Jakby część mnie wciąż nie wiedziała, czy to naprawdę ja. Czy to, co się wydarzyło, jest czymś, co potrafię unieść. Czy... zasługuję na to, by to unieść.

Jej skrzydła zadrżały ponownie, tym razem jak echo emocji, których nie potrafiła jeszcze nazwać. W tej księżycowej przestrzeni nie mogła ich ukryć – sen odbijał jej uczucia jak lustro, wyciągając na powierzchnię wszystko to, co na jawie potrafiła schować za uśmiechem lub milczeniem. Może właśnie dlatego czuła, że po raz pierwszy od dawna naprawdę mówi to, co czuje, bez filtrów, bez obaw, bez udawania.

– To wszystko wydarzyło się tak szybko – kontynuowała, a wokół niej delikatnie zafalował krajobraz snu, jakby reagował na jej słowa.

– Przemiana. Powrót. To, co dzieje się z portalem... i to, co stało się ze mną. Luna słuchała w ciszy, jej obecność była jak miękki, nocny oddech – nie naciskała, nie poganiała, po prostu była.

Księżyc nad nimi rozbłysnął mocniej, a gwiazdy zdawały się zbliżyć, jakby chciały lepiej usłyszeć jej wyznanie.

– Czuję, jakby moje życie zmieniło kierunek w jednej chwili – dodała, spuszcżając wzrok. – A ja... próbuję za tym nadążyć. I chyba boję się, że nie jestem gotowa. Że nie zrozumie tego wszystkiego wystarczająco szybko. Że... zawiodę. Siebie, Twilight i innych.

Słowa zawisły w powietrzu, delikatne, ale ciężkie od prawdy, którą Sunset wreszcie odważyła się wypowiedzieć. W świecie snu nie da się od niej uciec. Ale też – nie było potrzeby uciekać. Tutaj, pod czujnym spojrzeniem Luny, Sunset mogła wreszcie pozwolić sobie na to, by być tak zagubioną, jak naprawdę się czuła.

Luna podeszła bliżej do Sunset, a jej głos był ciepły jak nocne niebo tuż przed świtem – ten moment, w którym ciemność nie znika jeszcze całkowicie, ale już wiadomo, że światło nadchodzi. Jej krok był miękki, niemal bezgłośny, jakby sama przestrzeń snu ustępowała jej z szacunkiem. Księżycowe światło otuliło ją delikatnym blaskiem, a gwiazdy nad nimi zadrżały lekko, jakby reagowały na jej obecność. W powietrzu uniół się subtelny chłód, ten rodzaj świeżości, który zwiastuje nowy początek – nie gwałtowny, lecz spokojny, naturalny, nieunikniony.

Sunset poczuła, jak ta aura otacza również ją, łagodząc napięcie, którego nawet nie była świadoma. Luna nie musiała nic mówić, by jej obecność przyniosła ukojenie; wystarczył sam sposób, w jaki się poruszała, jak patrzyła, jak oddychała. Była jak obietnica, że nawet najciemniejsza noc ma swój kres, a świt zawsze znajdzie drogę.

– Sunset Shimmer... gotowość nie jest stanem, który przychodzi nagle – powiedziała, a jej słowa niosły w sobie miękki ciężar prawdy, którą można przyjąć tylko w ciszy snu. – To proces. A ty już w nim jesteś. Nie musisz rozumieć wszystkiego od razu. Wystarczy, że idziesz naprzód, krok po kroku.

Jej skrzydło poruszyło się lekko, jakby chciała dodać Sunset otuchy samą obecnością. Księżyc nad nimi rozświetlił się odrobinę mocniej, jakby potwierdzał jej słowa, a gwiazdy zadrżały subtelnie, jakby wsłuchiwały się w tę rozmowę.

Świat snu zareagował na ich wymianę – powietrze stało się cieplejsze, a horyzont rozjaśnił się delikatną poświatą, jakby świt próbował nieśmiało zajrzeć do tej księżycowej przestrzeni. Sunset poczuła, jak napięcie w jej piersi odrobinę słabnie, jakby słowa Luny naprawdę znalazły w niej miejsce.

Sunset uniosła na nią wzrok, a w jej oczach pojawiło się coś lekkiego – ulga, której nie potrafiła znaleźć na jawie, gdzie obowiązki, oczekiwania i własne myśli przytłumiały ją

bardziej, niż chciała przyznać. Tutaj, w świecie utkanym z magii Luny, mogła pozwolić sobie na szczerość.

– Chciałabym w to wierzyć – wyszeptała, a jej głos brzmiał jak pęknięcie w skorupie, którą nosiła zbyt długo.

Luna uśmiechnęła się delikatnie, z tą spokojną pewnością, która nie potrzebowała podniesionego tonu ani wielkich gestów.

– Wierz – odparła spokojnie. – Bo to, co cię męczy, nie jest brakiem siły. To tylko echo dawnego strachu. A echo... z czasem cichnie.

Zawiesiła głos, pozwalając, by cisza snu otuliła je obie. W tej ciszy nie było pustki – była przestrzeń. Przestrzeń na oddech, na zrozumienie, na to, by Sunset mogła poczuć, że naprawdę nie musi już walczyć sama.

– Strach nie znika od razu – dodała Luna łagodnie. – Ale z każdym krokiem, z każdą chwilą, w której wybierasz iść dalej... staje się coraz słabszy. A ty – coraz silniejsza.

Sunset zamrugała, a w jej oczach pojawił się blask, którego wcześniej tam nie było. Nie pewność. Nie jeszcze. Ale coś, co mogło się nią stać. Nadzieja.

Kiedy słowa Luny ucichły, świat snu zadrżał lekko, jakby coś w nim zmieniło kierunek. Księżyc nad nimi rozświetlił się jeszcze mocniej, a jego blask zaczął spływać na ziemię w postaci delikatnej, srebrzystej mgły. Sunset poczuła, jak powietrze wokół niej gęstnieje, ale nie w sposób przytłaczający – raczej jakby zapraszało ją do czegoś głębszego.

Luna uniosła lekko głowę.

– Chcę ci coś pokazać – powiedziała spokojnie. – Coś, co może pomóc ci zrozumieć to, czego jeszcze nie potrafisz nazwać.

Mgła zaczęła wirować, układając się w krąg wokół Sunset. Nie była zimna ani ciężka – przypominała dotyk wody, która nie moczy, tylko otula. Z jej wnętrza zaczęły wyłaniać się kształty: najpierw rozmyte, potem coraz wyraźniejsze.

Sunset zobaczyła... siebie. Nie tę z teraz, nie tę z ludzkiego świata, nie tę sprzed ucieczki. Siebie z różnych chwil – jak odbicia w wielu lustrach, każde pokazujące inny etap jej drogi.

Jedna Sunset stała z opuszczoną głową, jeszcze sprzed swojego buntu – dużo młodsza, cichsza, z oczami pełnymi nieśmiałej ciekawości i pragnienia, by zostać zauważoną. Jej grzywa opadała na bok w nieco niepewnym geście, a w spojrzeniu było coś lekkiego, niewinnego, czego Sunset dawno już w sobie nie widziała. Ta wersja niej była jak delikatny płomień, który dopiero zaczynał się tlić, nieświadomy, jak wielkim ogniem kiedyś się stanie.

Druga – pełna gniewu i ambicji, z oczami błyszczącymi od pragnienia mocy – stała wyprostowana, napięta jak struna. To była Sunset tuż przed ucieczką, w chwili, gdy jej serce było już zbyt ciężkie od rozczarowania, a umysł zbyt pełen pytań, na które nie chciała słyszeć odpowiedzi. Jej spojrzenie było twarde, niemal lodowate, ale pod tą warstwą kryła się desperacja kogoś, kto czuł, że jeśli nie wyrwie się teraz, to już nigdy nie znajdzie swojego miejsca. W tej wersji Sunset było coś bolesnego – siła, która narodziła się z poczucia bycia niewystarczającą i niedocenioną.

Trzecia – przemieniona w demona, z twarzą wykrzywioną bólem i strachem – była jak cień, który Sunset najchętniej wymazałaby z pamięci. Jej skrzydła były ostre, nienaturalne, a oczy jarzyły się niebieskim ogniem, który nie był już ambicją, lecz utratą kontroli. W tej postaci było wszystko, czego Sunset bała się najbardziej: samotność, gniew, upadek. Ale teraz, w świetle księżycowej wizji, demonica nie wyglądała jak potwór – raczej jak echo błędu, który został już dawno naprawiony, choć jego ślad wciąż istniał.

Czwarta – ta, którą była tu i teraz, z nowymi skrzydłami, które wciąż wydawały się obce – stała najbliżej. Jej sylwetka była spokojniejsza, bardziej wyważona, ale wciąż pełna niepewności. Skrzydła lśniły miękkim blaskiem, jakby magia wciąż próbowała dopasować się do niej, a ona do niej. W jej oczach było coś nowego: niepewność, tak, ale też cicha determinacja, której wcześniej nie miała. Ta Sunset była w drodze – nie na szczyt, nie na dno, lecz ku sobie samej.

– To są ślady twojej drogi – powiedziała cicho. – Każda z nich jest tobą. Każda z nich niesie część prawdy o tym, kim jesteś. I żadna z nich nie jest błędem.

Sunset poczuła, jak jej serce przyspiesza, ale nie ze strachu – raczej z czegoś, co przypominało rozpoznanie. Patrzyła na cztery wersje siebie, jakby widziała je po raz pierwszy naprawdę – nie jako wspomnienia, nie jako błędy, nie jako etapy, które chciałaby wymazać, lecz jako żywe, oddychające fragmenty jej własnej historii. Przez chwilę nie mogła się poruszyć. Miała wrażenie, że jeśli zrobi krok, wizja się rozpadnie, a wraz z nią to kruche zrozumienie, które zaczynało w niej kiełkować.

Jej oddech stał się płytszy, ale nie ze strachu – raczej z przytłoczenia. Zachwytem, ulgą i czymś czego jeszcze, czego nie potrafiła nazwać.

– To... – zaczęła, ale głos uwiązł jej w gardle. Musiała zamknąć oczy na krótką chwilę, by zebrać myśli. – To wszystko... to naprawdę ja.

Kiedy znów spojrzała na wizje, jej spojrzenie było inne. Nie uciekała już wzrokiem od demonicy. Nie odwracała się od tej pełnej gniewu, ani od tej młodszej, niepewnej. Patrzyła na nie wszystkie z czymś, co przypominało... współczucie.

– Zapomniałam, jaka byłam – wyszeptała. – Albo raczej... nie chciałam pamiętać, to zbyt bolesne wspomnienie i mocno zawstydzające.

Jej głos drżał, ale nie był słaby. Raczej odsłonięty, prawdziwy.

– Ta pierwsza... – spojrzała na najmłodszą siebie, tę z opuszczoną głową. – Ona tylko chciała być dobra. Chciała się nauczyć wszystkiego, co mogła. Chciała... żeby ktoś ją zauważył.

Jej spojrzenie przesunęło się na drugą wersję – tę tuż przed ucieczką.

– A ta... była tak bardzo zraniona. Tak bardzo przekonana, że jeśli nie udowodni swojej wartości, to nikt jej nie zobaczy. Nawet ona sama.

Kiedy jej wzrok padł na demonice, Sunset wzięła głębszy oddech. Nie cofnęła się. Nie odwróciła.

– A ta... – powiedziała cicho. – Ona była moim najgorszym momentem. Ale też... moim punktem zwrotnym. Gdyby nie ona, nie byłoby mnie tutaj. To w tym momencie poznałam magię przyjaźni i dosłownie ją poczułam na sobie.

Wreszcie spojrzała na siebie obecną – tę ze skrzydłami, które wciąż wydawały się obce.

– A ta ostatnia... – jej głos złagodniał. – Ona wciąż się uczy. Wciąż szuka swojego miejsca i swojego prawdziwego „Ja”. Ale... chyba po raz pierwszy nie ucieka. Nie walczy z tym, kim jest. Po prostu... próbuje być sobą.

Sunset poczuła, jak coś w jej piersi rozluźnia się, jakby od dawna trzymany węzeł wreszcie zaczął się rozplątywać.

– Nigdy nie patrzyłam na siebie w ten sposób – przyznała. – Zawsze widziałam tylko jedną wersję. Tę, której się wstydziłam. Albo tę, którą próbowałam udowodnić. Albo tę, której się bałam.

Jej oczy zaszklily się lekko, ale nie były to łzy bólu.

– Ale teraz... widzę całość. I to... to jest przerażające. Ale też... piękne.

Wizje zaczęły powoli blaknąć, jakby ich zadanie zostało spełnione. Sunset patrzyła za nimi, aż zniknęły całkowicie, a w jej sercu pozostało ciepło, którego nie spodziewała się poczuć.

– Dziękuję... – wyszeptała, nie wiedząc nawet, czy mówi do Luny, czy do samej siebie.

Sunset patrzyła na znikające wizje, a jej serce biło szybciej, jakby próbowało nadążyć za tym, co właśnie zobaczyła. Czuła w sobie mieszaninę ulgi, zdumienia i czegoś, co przypominało... akceptację. Delikatną, kruchą, ale prawdziwą.

– Nigdy nie patrzyłam na siebie w ten sposób – wyszeptała.

– Zawsze widziałam tylko jedną wersję. Tę, której się wstydziłam. Albo tę, którą próbowałam udowodnić. Albo tę, której się bałam. A teraz... widzę całość. I to... to jest przerażające. Ale też... piękne.

Luna stała obok niej w milczeniu, pozwalając, by słowa Sunset wybrzmiały w pełni. Dopiero gdy mgła całkowicie się rozwiała, a księżycowy blask wrócił do swojej spokojnej jasności, odezwała się łagodnie.

– Właśnie dlatego chciałam, byś to zobaczyła – powiedziała, a jej głos był miękki jak nocny wiatr. – Zbyt długo patrzyłaś na siebie przez pryzmat jednego błędu, jednej decyzji, jednego momentu. Ale ty nie jesteś jednym momentem, Sunset Shimmer. Jesteś sumą wszystkich swoich kroków.

Sunset odwróciła się do niej, wciąż poruszona.

– Ale... te wersje mnie... one są tak różne.

– Bo ty jesteś złożona – odparła Luna spokojnie. – I to nie jest wada. To dar. Każda z tych wersji niosła coś, co doprowadziło cię do tej chwili. Ta młodsza nauczyła cię pragnąć wiedzy. Ta zbuntowana nauczyła cię walczyć o siebie. Ta przemieniona pokazała ci, jak łatwo można się zgubić... i jak wielką masz siłę, skoro potrafiłaś wrócić. A ta obecna... – Luna spojrziała na jej skrzydła – ...ta obecna dopiero odkrywa, kim może się stać.

Sunset poczuła, jak jej gardło się zaciska, ale tym razem nie z bólu.

– Więc... nie muszę odrzucać żadnej z nich?

– Nie – odpowiedziała Luna z ciepłym uśmiechem. – Musisz je zrozumieć. Przyjąć. Pozwolić im być częścią ciebie, ale nie pozwolić, by rządziły twoją przyszłością. To, co widziałas, to nie wyrok. To mapa. A ty decydujesz, dokąd poprowadzi cię dalej.

Sunset wzięła głęboki oddech, czując, jak słowa Luny osiadają w niej jak miękkie, srebrzysty księżycowy pył.

– To... pomaga – przyznała. – Bardziej, niż myślałam.

– Wiem – odparła Luna. – Bo to, co cię męczyło, nie było strachem przed przyszłością. To był strach przed sobą samą. A teraz zobaczyłaś, że nie masz się czego bać. Jesteś całością. I jesteś silniejsza, niż myślisz.

Sunset zamknęła oczy, pozwalając, by ta prawda w niej zapadła. Kiedy je otworzyła, jej spojrzenie było spokojniejsze. Jaśniejsze.

– Dziękuję, księżniczko – powiedziała cicho.

Luna skinęła głową, a jej grzywa zafalowała jak nocne niebo.

– To dopiero początek, Sunset Shimmer. Ale idziesz we właściwą stronę.

Sunset stała jeszcze chwilę w ciszy, jakby słowa Luny wciąż krążyły w jej myślach, szukając miejsca, w którym mogłyby osiąść na dobre. Księżycowe światło łagodnie otulało jej skrzydła, a ona sama wyglądała, jakby po raz pierwszy od dawna naprawdę czuła ich ciężar.

– Kiedy patrzę na to wszystko... – zaczęła powoli, ostrożnie, jakby każde słowo mogło coś w niej poruszyć. – Na to, kim byłam. Kim jestem. Kim mogłabym być... czuję, że powinnam być silniejsza, mądrzejsza, bardziej... gotowa. A ja wciąż się boję.

Luna nie odwróciła wzroku. Jej spojrzenie było jak spokojna noc – cierpliwe, nieocenające.

– Czego najbardziej? – zapytała cicho, ale nie naciskając. To nie było pytanie, które miało ją przycisnąć do ściany. To było pytanie, które otwierało drzwi.

Sunset wzięła powolny, drżący oddech.

– Że znowu coś popsuję – wyszeptała, a każde słowo brzmiało tak, jakby musiała je wyciągać z najciemniejszego zakamarka własnego serca. – Że magia wymknie się spod kontroli. Że zrobię coś, czego nie będę mogła cofnąć. Że nie uda mi się opanować portalu...

Zacisnęła powieki, jakby samo wypowiedzenie tego było zbyt ciężkie.

– Że... zawiodę wszystkich, którzy we mnie wierzą. Twilight, przyjaciół, Celestię... i ciebie.

Ostatnie słowo pękło w powietrzu jak cienka nić. Sunset próbowała je stłumić, ukryć drżenie, które wdarło się do jej głosu, ale w świetle snu nie było masek. Nie było ucieczki. Tutaj każda emocja była widoczna jak odbicie w spokojnej wodzie. Jej skrzydła drgnęły, jakby chciały się zwinąć, schować ją przed własnym wyznaniem. W jej oczach pojawił się błysk wstydu – nie tego, który krzyczy, ale tego cichego, który rodzi się, gdy ktoś wreszcie wypowiada prawdę, od której uciekał zbyt długo.

– Boję się, że jeśli popełnię choć jeden błąd... wszystko wróci – dodała jeszcze ciszej. – Że znowu stanę się kimś, kogo nie poznaję. Że stracę kontrolę. Że... stracę was.

Jej głos zadrżał, a w tej drżącej nutce było więcej prawdy niż w jakimkolwiek krzyku.

W świecie snu nic nie mogło zostać ukryte — ani lęk, ani wstyd, ani to kruche pragnienie, by ktoś powiedział jej, że nie musi być doskonała, by zasługiwać na zaufanie.

Luna podeszła bliżej, ale nadal nie naruszyła jej przestrzeni. Jej obecność była jak ciepły, nocny wiatr — wyczuwalna, ale nie przytłaczająca.

– Sunset Shimmer — powiedziała miękko. Lęk przed porażką jest jednym z najstarszych lęków, jakie zna magia. I jednym z najtrudniejszych do wypowiedzenia. Ale to, że go czujesz... oznacza, że naprawdę rozumiesz wagę tego, co robisz.

Sunset uniosła na nią wzrok, w którym mieszały się wstyd i ulga.

– Ale co, jeśli ten lęk mnie zatrzyma? — zapytała. Co, jeśli przez niego nie będę w stanie zrobić tego, co powinnam?

Luna uśmiechnęła się delikatnie i ze spokojną pewnością.

– Lęk nie jest po to, by cię zatrzymać — odparła. Lęk jest po to, byś wiedziała, gdzie postawić ostrożny krok. Nie po to, byś przestała iść. Gdybyś nie czuła strachu, byłabyś lekkomyślna. A lekkomyślność jest o wiele groźniejsza niż ostrożność.

Sunset zamrużyła, jakby te słowa otworzyły w niej coś, czego wcześniej nie dostrzegała.

– Więc... to, że się boję... nie znaczy, że jestem słaba?

– Wręcz przeciwnie — powiedziała Luna.

– To znaczy, że jesteś świadoma. Że widzisz konsekwencje. Że zależy ci na tym, by zrobić to dobrze. A to jest siła, Sunset. Siła, której nie miałaś kiedyś... ale masz ją teraz.

Sunset poczuła, jak jej skrzydła drżą lekko — nie ze strachu, lecz z emocji, które wreszcie mogły wypłynąć na powierzchnię.

– Ale co, jeśli magia znowu zacznie przeciekać? — zapytała cicho. — Co, jeśli nie będę w stanie jej zatrzymać?

Luna spojrzała na nią poważniej, ale wciąż łagodnie.

– Wtedy nie będziesz sama — powiedziała. — Masz przyjaciół. Masz Twilight. Masz mnie i Celestie. A przede wszystkim... masz siebie. Tę, którą właśnie zobaczyłaś. Tę, która potrafi spojrzeć na swoje lęki i nie odwrócić wzroku.

Sunset wzięła głęboki oddech. Po raz pierwszy od dawna nie czuła, że musi udawać, że wszystko jest w porządku. Po raz pierwszy od dawna czuła, że naprawdę może o tym mówić.

– To... dużo – przyznała. – Ale... chyba zaczynam rozumieć.

Luna skinęła głową.

– I to wystarczy – powiedziała. – Nie musisz rozumieć wszystkiego. Wystarczy, że rozumiesz siebie odrobinę lepiej niż wczoraj.

Sunset uśmiechnęła się słabo, ale szczerze.

– To... chyba potrafię.

– Wiem, że potrafisz – odparła Luna.

A świat snu wokół nich rozjaśnił się jeszcze bardziej, jakby sam nocny krajobraz chciał potwierdzić jej słowa.

Luna milczała przez chwilę, pozwalając, by cisza snu otuliła Sunset niczym miękka, nocna mgła. Nie było już obrazów, odbić ani wspomnień – tylko one dwie, stojące na równinie, która powoli zaczynała się uspokajać, jakby sen sam odetchnął z ulgą.

– Sunset Shimmer – odezwała się w końcu Luna, jej głos był ciepły i głęboki jak nocne niebo. – To, co dziś zrobiłaś, wymaga odwagi. Nie tej, którą widać na zewnątrz... lecz tej, która rodzi się w środku. Odwagi, by spojrzeć na siebie bez lęku.

Sunset przełknęła ślinę, czując, jak jej skrzydła układają się spokojniej przy bokach.

– Nadal się boję – przyznała cicho. Ale... chyba już nie uciekam.

Luna skinęła głową z łagodną aprobatą.

– Strach nie zniknie od razu. I nie musi. Ważne jest to, że nie pozwalasz mu prowadzić. To wystarczy, by iść dalej.

Księżyc nad nimi zaczął powoli blednąć, jakby świt zbliżał się do granicy snu. Gwiazdy traciły ostrość, a powietrze stawało się lżejsze, bardziej przejrzyste. Sunset poczuła, że sen zaczyna się rozplatać – nie gwałtownie, lecz naturalnie, jakby świat nocy oddawał ją z powrotem porankowi.

Luna zrobiła ostatni krok, stając tuż obok niej.

– Pamiętaj o tym, co dziś zobaczyłaś. Nie po to, by wracać do przeszłości... lecz by wiedzieć, że nie musisz się jej bać. Jesteś silniejsza, niż myślisz. I nie jesteś sama.

Sunset uniosła wzrok, a w jej oczach odbijał się ostatni blask księżyca.

– Dziękuję, księżniczko – wyszeptała. – Za wszystko.

Luna uśmiechnęła się, a jej grzywa zafalowała jak nocne niebo, które powoli ustępuje miejsca świtowi.

– Zawsze jestem przy tobie, Sunset Shimmer. W snach... i poza nimi.

Luna zaczęła powoli niknąć w blasku rozjaśniającego się snu, jej sylwetka stawała się coraz bardziej przezroczysta, jakby rozpuszczała się w pierwszych promieniach nadchodzącego świtu. Sunset patrzyła na nią z wdzięcznością, ale i z cieniem niepokoju, który wciąż tlił się gdzieś głęboko.

Księżniczka zatrzymała się jednak na moment, jakby wyczuła to drżenie myśli.

– Sunset Shimmer – powiedziała miękko, a jej głos brzmiał teraz jak ostatni, kojący akord nocnej pieśni. Wiem, że portal nadal budzi w tobie lęk. I słusznie. Magia, która przez niego przepływa, jest potężna i nieprzewidywalna.

Sunset uniosła głowę, a w jej oczach pojawił się cień obawy, który nie zdążył jeszcze zgasnąć.

Luna uśmiechnęła się łagodnie, z tą spokojną pewnością, która potrafiła rozświecić nawet najciemniejszą noc

– Nie będziesz musiała mierzyć się z tym sama – dodała. – Kiedy nadejdzie czas, również ja przyjdę ci pomóc zabezpieczyć portal. Razem zadamy o to, by magia nie wymknęła się spod kontroli.

Słowa te spłynęły na Sunset jak ciepły, srebrzysty deszcz. Nie były obietnicą obowiązku, a obietnicą wsparcia

– Obiecuję – dodała Luna, a jej głos był jak dotyk skrzydła na czole. – Nie zostawię cię z tym. A teraz Odpocznij – dodała. Jutro będzie jaśniejsze.

Świat snu rozświecił się jeszcze bardziej, a sylwetka księżniczki rozplynęła się w świetle, zostawiając po sobie jedynie miękkie echo jej obecności.

Sunset poczuła, jak jej ciało zanurza się z powrotem w pościeli, jak oddech staje się głębszy, spokojniejszy.

Gdy otworzyła oczy, pierwsze promienie świtu muskały jej grzywę i skrzydła. Po raz pierwszy od dawna... nie bała się tego, co nadejdzie. Bo wiedziała, że nie będzie w tym sama.